Przysyłka pocztowa opłacona ryczałtem. Cena 25 groszy

GŁOS PRAWDY

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

Adres Redakcji „Głosu Prawdy" Szpitalna 1 m. 3 II p.; telefon 295-67.
Godziny przyjęć codziennie, prócz niedziel i świąt od godz. 4 — 6.
Administracja czynna od 10 — 2 i od 4 — 6.
Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Rok II. WARSZAWA, DNIA 6 WRZEŚNIA 1924. Nr 52.

Przegrupowanie.

Czasem trzeba spojrzeć na życie z lotu ptaka. Odrzucamy animozje, zapominamy o uprzedzeniach — stajemy się bezstronni, aby wybrać miejsce dla siebie, aby sprawdzić punkt wyjścia dotąd obrany i — znów ruszyć w bój.

A właśnie dziś jest to dla działacza politycznego, dla publicysty, dla każdego obywatela wreszcie pragnącego orjentować się w sytuacji rzeczą niezbędną, gdyż w społeczeństwie zachodzi poważne przegrupowanie sił. Dzisiejsze jego stadjum jest ledwie początkowe — jutro już co innego przyniesie.

Nieraz zwracaliśmy uwagę, nie my jedni zresztą, że układ naszych stronnictw politycznych nie odpowiada bynajmniej społecznej strukturze narodu. Wielkie dwa bloki, prawicy i lewicy, dzielą od siebie nieraz zupełnie inne sprawy, dzielą właściwie dawne orjentacje i tych orjentacyj spuścizna.

Po jednej stronie stanęło to, co czynnej walki z Rosją hasło wyznawało — po drugiej wszystko, co przez bierne wyczekiwanie chciało jej umożliwić zwycięstwo nad mocarstwami środka. Do pierwszej grupy przymknęli ci, co los Polski ze zwycięstwem Austrji łączyli, pragnąc utożsamić siebie z grupą, która przez nazwę niepodległościowców odgraniczyła się od reszty aktywistów.

Nie ślepy los, lecz konieczność dziejowa sprawiła iż grupę czynnej walki o niepodległość, co nie chciała „z królami aljansów" stanowiła demokracja, szczera — prawdziwa lewica. Za-

równo po stronie Rosji, jak i po stronie Austrji stanęły stronnictwa prawicowe, które ugodową politykę prowadziły w wiedeńskim Reichsracie i w Dumie petersburskiej. „Przy tobie stoimy i stać chcemy" — szły zapewnienia stańczyków do tronu Habsburgów. „Na gruncie państwowości rosyjskiej stoimy bez zastrzeżeń" — odpowiadał pan Dmowski w Dumie pod adresam Mikołaja II. Analogja jest uderzająca. Są jednak i różnice.

Prawica rusofilska, widząc wszystką demokrację w przeciwnym obozie wszczęła szaloną agitację za swoją sprawą, wyzyskując wszystkie momenty demagogji. Bezwład mas podniosła do godności wytrwania, z zoologicznego antysemityzmu uczyniła cnotę patrjotyczną. Przy pomocy doskonale pomyślanych intryg zjednywała sobie różne sfery narodu hasłami nieraz sprzecznemi. Cały genjusz tego stronnictwa szedł w agitację.

Prawica austrofilska, tymczasem zwrócona przeciw Rosji, mobilizowała istniejące partje walki czynnej w imię wspólności wroga. Treuga Dei wśród czynników aktywistycznych — oto było jej przykazanie. Myśl polityczną swą przeprowadzić chciała rękami demokracji, zrazu sprzymierzonej ze sobą — sama organizacyjnej stronie życia i dyplomacji się poświęcając. Gdy pierwsza konserwa się wzmogła — druga schodziła do roli wodzów bez armji.

Druga różnica jest jakościowa. Rusofile wytworzyli znakomitą organizację polityczną i dobrali przepyszny aparat agitatarski. Talenty organizacyjno-państwowe zanikły wśród niej — zwyrodniały. W momencie kiedy ludzie ci przyszli do władzy, nie znaleźli wśród siebie ani jednego człowieka, któryby nie zawiódł pokładanej w sobie na kredyt ufności. Austrofile, już i przed wojną zwolnieni od obowiązku agitacji — mandaty im bowiem przygotowywała biurokratyczna maszyna administracyjna używając wojska i żandarmerji — podnieśli jak nikt swoją kulturę państwową. Oni jedni z Polaków dopuszczeni byli do tajników rządzenia, oni jedni umieli w zagadnieniach, z któremi ma do czynienia mąż stanu orjentować się i poruszać śród nich swobodnie. Stanowiąc armję bez wodzów, posiadają oni i posiadają tak znakomity kapitał umysłowy, że w epoce tworzenia państwa nie korzystać z niego byłoby niepodobieństwem.

Trzecia różnica wypływa z pierwszej i drugiej. Rusofile, oparci na masach, tworząc siłę samoistną, przerażeni zrazu falą powszechnej ewolucji pojęć, która wprost rewolucyjnych zmian dokonała w społeczeństwach powojennych, ustąpili zrazu — lecz wnet, widząc nową falę reakcji, z całą furją ruszyli ku odrobieniu postępu. Jeżeli przeciwstawiało się tak często naszą endecję konserwatystom zachodu i podnosiło tamtych takt i wyrobienie państwowe wobec anarchicznych, wichrzycielskich wystąpień naszego wstecznictwa — to musimy przyznać, że popełniano błąd zasadniczy. Reakcja wszędzie, gdzie tylko znalazła

oparcie w masach, umiała stosować metody godne najradykalniejszych przewrotowców. Rosja znała rewolucjonistów prawicy w osobach Puriszkiewicza, Markowa i wielu in. Rząd Combes'a we Francji przy pomocy wojska musiał uśmierzać klerykałów. A jakże cudownie poseł gen. Ludendorff w stosunku do rządu p. Marxa i prezydenta Niemiec naśladuje obecnie styl *Rzeczypospolitej* i *Gazety 2 grosze!*

Austrofile nie mieli sił do walki z postępem. I, z całej duszy nienawidząc reformy rolnej, jak najbardziej wrogo odnosząc się do rozwoju ustawodawstwa socjalnego, kwestjonując nawet pożytek republikańskiego ustroju — ujrzeli konieczność kompromisu i od samego początku gotowość popierania rządu nawet w osobie p. Moraczewskiego zgłosili. Była to ogromna ofiara z ich strony — ofiara dobrze świadcząca o wyrobieniu politycznem tej grupy. Lewica, korzystając z ich usług, dopiero później spostrzagła jak wysiłki jej reformatorskie paraliżowali ci ludzie niezbędni — a obcy jej zupełnie.

W miarę rozwoju życia państwowego Polski, pamięć dawnych czasów, dawnych orjentacyj przemija. Nienaturalność podziału społeczeństwa na stronnictwa ujawnia się coraz mocniej. Prawica endecka w czasie rządów odczuła (choć może i nie uświadomiła sobie tego dotąd) jak ciężko zbłądziła, wyrzekając się dobrowolnie kapitału stworzonego przez stańczyków. Ci, w miarę tego jak lewica, dojrzewając, wyłania coraz to nowe siły, nowe zdolności, stające z nimi do konkurencji skutecznej, coraz bardziej opuszczeni i samotni, coraz mniej zdolni do opierania się o lewicę — poczynają szukać innych przymierzy.

Czy idą narady? nie wiemy. Czy zawarto umowy wiążące? — nie wiele to nas obchodzi. Boć jeśli nie, to tembardziej uderzającym jest fakt, że rząd p. Grabskiego, będąc niemal dosłownem powtórzeniem rządu gen. Sikorskiego — właśnie po przeciwnej stronie izby niż dawniejszy poparcie znajduje.

W ciszy dokonuje się wielkie przegrupowanie. A jego ofiarą padają pseudodemokratyczne przekonania „lewicowych“ stańczyków.

Jego ofiarą paść ma również Marszałek Piłsudski. W tem oświetleniu spór wszczęty na Zjeździe legjonistów (niezbyt szczęśliwie dodajmy) podjęty — rzecz charakterystyczna — na łamach *Polski Zbrojnej*, *Czasu* i innych organów prawicy, lewicy i stańczyków nabiera cech niezwykle poważnych. Józef Piłsudski, będąc centralną osobistością naszych dziejów, symbolem Polski czynnej, zostaje wydźwignięty przez samo życie, staje się centrem walki. Ten najdoskonalszy wyraz demokracji, na ustroniu żywot pędzący, przez sam fakt swego istnienia, przez fak nabrzmienia treścią dziejową swej osobowości sprawia to że kruszą się nienaturalne podziały na stronnictwa. Za nim

staje prawdziwa lewica i wszystko, co tylko pozornie z nią było związane spycha na prawo.

Spycha siłą własnego rozrostu. Spycha nieraz przypadkowemi odruchani — nieomal niespodzianemi odruchami, które czasem wprost przerażają nawet przywódców radykalizmu. Spycha logiką rozwoju.

Kto się da zepchnąć? Kogo przejedzie wóz prawdziwego postępu? To rzeczy względnie obojętne.

Karta w naszem życiu politycznem się odwraca.

Czystość linji lewicy naszej na tem zyska. Jeżeli zyska poczucie państwowości wśród prawicy — tem lepiej.

A. Uziembło.

Charakterystyczna nieścisłość.

W ofensywie rozwiniętej na łamach *Polski Zbrojnej* w obronie gen. Sikorskiego poza tonem nieprzyzwoicie aroganckim uderza szereg — powiedzmy łagodnie — nieścisłości rzeczowych. Począwszy od tajemniczego „szeregu legjonistów", którzy tak gwałtownie żądali od redakcji organu wojskowego obrony gen. Sikorskiego przed rezolucjami Zjazdu Legjonistów, domagającego się powrotu Marszałka do armji, że aż zapomnieli zostawić swych nazwisk, poprzez kapitalne odkrycie, że dopiero z chwilą nominacji obecnego ministra spraw wojskowych „korpus oficerki z ulgą odetchnął, uświadomiwszy sobie, że może pracować ideowo dla Polski, bez brania udziału w politycznych rozterkach", a kończąc na bałamutnem krętactwie w sprawie rzekomo czynionych Marszałkowi propozycyj objęcia stanowiska Generalnego Inspektora Armji — snuje się nić, tych, jak je nazwaliśmy, nieścisłości, rzucających drastyczny snop światła na metody polemiczne przyjaciół i obrońców gen. Sikorskiego.

Na ostatnią z wymienionych nieścisłości pragniemy zwrócić uwagę czytelnika.

W Nr. 232 *Polski Zbrojnej*, a więc na zajutrz po sławetnym artykule p. t. „O konsolidację wojska", czytamy na naczelnem miejscu: „Dnia dzisiejszego mieliśmy sposobność zasięgnięcia informacji w sprawie definitywnej organizacji najwyższych władz wojskowych i złączonego z tem powrotu I-go Marszałka Polski Piłsudskiego do służby czynnej w armji".

A więc informacje specjalne.

Otóż według tego oficjalnego źródła wojskowego sprawa ta miała następujący przebieg: „Bezpośrednio po objęciu szefostwa Rządu przez p. Prezesa Rady Ministrów Władysława Grabskiego — *Prezydent Rzeczypospolitej na wniosek rządu zaproponował powrót do czynnej służby Marszałkowi Piłsudskiemu, ofiarując mu stanowisko Generalnego Inspektora Wojsk łącznie ze stanowiskiem zastępcy Przewodniczącego Rady Wojennej*"...

Niezwłocznie po opublikowaniu tego komunikatu, bo dn. 25 sierpnia Marszałek Piłsudski wystosował do redakcji *Polski Zbrojnej* list w którym oświadczył: „po mojem wystąpieniu z wojska w połowie zeszłego roku, jedyną propozycją powrotu do służby państwowej w wojsku, którą otrzymałem, była propozycja nie czyja inna, jak gen. dyw. Kazimierza Sosnkowskiego, w końcu ubiegłego roku. Zgodnie z moim poglądem postawiłem mu warunki, które poza krótkiemi rozmowami z nim samym były przedmiotem rozpraw, toczonych ze mną z kilku członkami gabinetu p. Władysława Grabskiego w Belwederze. *Zaznaczam, że mowy tam nie było ani o Generalnym Inspektorze armji, ani o jakichkolwiek jego funkcjach. Odpowiedź odmowną na moje warunki ze względów politycznych otrzymałem od pana Prezesa Ministrów Władysława Grabskiego* przez pana ministra Miklaszewskiego, który w tym celu przybył do mnie do Sulejówka".

Grubą nieścisłość enuncjacji oficjalnej w tej sprawie podkreśla dobitnie użyty w niej zwrot, mówiący wyraźnie o „odmowie Marszałka Piłsudskiego na propozycję" objęcia „stanowiska Generalnego Inspektora Wojsk", której, jak widać z zestawienia powyższych dokumentów, nigdy nie było. Legendarna „odmowa", również wyszła nie z ust Marszałka a od rządu, „ze względów politycznych", dla których miejsca w rządzie gen. Sikorskiemu ustąpił gen. Sosnkowski.

w. s.

Alarmy od wschodu.

Od kilku dni ze źródeł zagranicznych rozchodzą się wieści o mobilizacji armji i floty sowieckiej. I prasa moskiewska pisze o próbnej mobilizacji, która w najbliższym czasie ma przyjść do skutku.

Nie należy wiadomości tych lekceważyć. Wprawdzie sowiety na punkcie blagi i humbugu wyrobiły już sobie ustaloną opinję, wprawdzie do ich słów i giestów nie przywiązuje się nawet cząstki tej uwagi, co do analogicznych objawów gdzieindziej, wprawdzie alarmowanie Europy i szerzenie w niej niepokoju jest oddawna ulubionym sportem rządu sowieckiego i zarazem jego metodą polityczną, nie mniej jednak w danym razie możemy z jego strony mieć do czynienia z konkretnemi zamiarami.

W Rosji jest głód i bardzo zły stan finansowy. Jedno i drugie stanowiłoby ważną przeszkodę do awanturniczych przedsięwzięć dla każdego innego rządu. Atoli sowiety nie są żadnym normalnym rządem, lecz uzurpatorską bandą, której w oczy zagląda bankructwo i która gotowa dla wybrnięcia z trudności chwycić się środków desperackich. Do kłopotów

wewnętrznych, które trapią rząd sowiecki przybyły duże poważne klęski na terenie międzynarodowym.

Polityka sowietów w stosunku do Europy nie jest dotychczas niczem innem jak pokojową wojną, w której orężem jest podstęp, oszustwo i wroga agitacja. Majster sztykiem tej polityki byłoby zaprządz finansjerę zachodnią do subsydjowania za pomocą pożyczek jej ofenzywy t. j. do opłacania czerwonej armji i agitacji komunistycznej na zachodzie. Politycy sowieccy oddawna są przekonani o bezdennej głupocie burżuazji zachodniej i trzeba przyznać, że w ostatnich latach spotykali niemało objawów, potwierdzających poniekąd powyższe zdanie. A jednak przerachowali się mocno. Wprawdzie leader Partji Pracy objąwszy władzę, uznał rząd sowiecki, nie stawiając mu żadnych uprzednich warunków, lecz zaraz na wstępie zapowiedział, że z owego uznania nic jeszcze bezpośrędnio nie wypływa. Dopiero następne układy miały określić rzeczywisty charakter stosunków pomiędzy Anglją a sowietami tudzież możliwość otrzymania przez te ostatnie pożyczki. Jakoż w ciągu kilku miesięcy toczyły się te układy i doprowadziły do formalnej umowy, której treść istotna ma być dopiero zawarta w przyszłych uzupełniających postanowieniach. Według powszechnego zdania konkretnego porozumienia nie osiągnięto; Mac-Donald podpisał fikcyjną umowę, aby uniknąć w świecie robotniczym rozczarowania, jakie musiałby sprawić fakt otwartego rozbicia układów. Niezależnie wszakże od zamiarów obecnego premiera porozumienie obecne skazane jest na nieuchronne fiasko, gdyż punktu o zagwarantowanie pożyczki dla sowietów, nie przyjmie parlamet, w którym nie tylko konserwatyści, lecz i liberałowie z pod znaku Lloyda George'a oświadczają się przeciw udzielaniu sowietom pożyczki wzamian za ich obietnice bez wartości.

Oczywiście dla przywódców bolszewickich cały sens umowy z Anglją mieści się w perspektywie pożyczki, a skoro jej nie otrzymają, to kampanja dyplomatyczna Rakowskiego w Londynie zmienia się dla nich w klęskę. Okazuje się, że burżuazja angielska o wiele chętniej otwiera swe usta do rozmowy z sowietami niż swe kasy do robienia z niemi insteresów. Możliwość pożyczki odsuwa się w jakąś dal nieokreśloną, gdyż po za Anglją żadne inne państwo nie da Moskwie pieniędzy.

Jednocześnie z tą klęską spotyka politykę sowiecką w tymże Londynie druga, bodaj jeszcze dotkliwsza. Doszedł tam do skutku traktat międzynarodowy co do odszkodowań niemieckich na gruncie projektu Davesa. Oznacza to odwrócenie Niemiec od bolszewickiej Rosji i wejście ich na drogę zbliżenia do mocarstw zachodnich i wykonywania zobowiązań pokojowych. Niemcy oczywiście nie wyrzekną się stosunków z Rosją i możliwych korzyści gospodarczych, jakie z nich dadzą się wyciągnąć, lecz dają za wygranę politycznej rachubie

na Rosję, na jej ewentualną pomoc przeciw egzekutorom traktatu wersalskiego. Ta rachuba zaprowadziła je swego czasu z Genui do Rapallo, które miało być pewną groźbą pod adresem koalicji. Polityka ta przyniosła Niemcom klęski i zawody, a wyszła tylko na korzyść sowietom, które umocniły swe wpływy w Niemczech i szerzyły tam propagandę komunistyczną. Rezultat ostatnich wyborów do parlamentu berlińskiego pokazał groźny postęp tej propagandy. Wobec nacisku francuskiego i trudności wewnętrznych Rzeszy sowiety mogły sobie obiecywać bliską rewolucję w Niemczech i ogromne rozszerzenie swej władzy w środku Europy. Z dojściem do skutku porozumienia londyńskiego, te rachuby przepadają niemal beznadziejnie.

A system sowiecki musi dążyć do ekspansji zewnętrzej, do rozszerzenia rewolucji na Europę, przedewszystkiem na sąsiednie kraje, jeżeli nie chce zginąć w samej Rosji. Skoro więc przestają mu się udawać próby pokojowej wojny może się w desperackim szale rzucić w odmęt walki zbrojnej. Wojownicze gesty podniecają gwardję bolszewicką i odbierają jej resztę rozumu. Nie można im odmawiać wszelkiego znaczenia i zamykać oczy na niebezpieczeństwo.

Caveant consules... *T.*

Ochrona granic.

Zagadnienie wymienione w tytule nieraz nas interesowało. Wywołało też ono w ostatnich czasach zupełnie słusznie polemikę na łanach prasy codziennej, zarówno w stolicy, jak i na prowincji. Że zaś kwestja nie jest jeszcze wyczerpana, pozwolimy sobie i my zabrać jeszcze raz głos na ten temat.

W czasie istnienia państwa czyniono już sporo prób w tej dziedzinie i mamy pewne doświadczenia, o które można się oprzeć. Doświadczenia porobiono i gdzie indziej — więc i obcych na-uka niemoże być obojętna.

Próbowaliśmy więc ochrony wojskowej. I pomimo, że nawet bardzo szanowni ludzie z przyjemnością ją wspominają, ośmielam się twierdzić, że słuszność miał gen, Sikorski, który jako szef rządu i minister spraw wewnętrznych zdecydował zastąpić wojsko przez policję. Służba na granicy wymaga specjalnego przygotowania. Regulamin służby wartowniczej tu nie wystarcza. Trzeba mieć węch śledczy, trzeba umieć rozpoznać spokojnego mieszkańca od przemytnika. Trzeba być w ciągłym ruchu, znać przepisy graniczne, znać cały szereg ustaw. Pełnić służby tej nie może żołnierz wzięty w czasie branki, którego wyszkolenie zupełnie na czem innem polega.

Służba graniczna wymaga rozdrobnienia sił, rozrzucenia oddziałów, co jest równoznaczne z demoralizacją wojska. Służba

graniczna wymaga wytrzymałości moralnej, pewnego przywiązania do posady.

Nie przeczymy iż byłoby pożądanem po za posterunkami granicznemi nieopodal mieć poważniejsze garnizony wojskowe.

To też nie na tem bynajmniej polega wadliwość organizacji naszej służby granicznej, że jest ona policyjną. Słabą jest ta biedna policja — oto nieszczęście. Źle jest dobraną — oto klęska; kiepsko wyposażoną — oto przyczyna złego.

Granicę taką jak bolszewicka trzeba dobrze i pilnie obserwować. Służą do tego posterunki — i to posteronki gęste. Pas lasu też nad granicą musi być wyrąbany, by posterunek mógł patrzać i widzieć co się dzieje. Niezmiernie pożądane są gęste konne patrole. Konieczną poprostu jest służba lotnicza pilna i sprawna. Płatowiec ciągnący nad granicą nie tylko strzeże i obserwuje, ale manifestuje nieustanną czujność Rzeczypospolitej. Po za tem łatwo zeń dojrzeć i przygotowania wypadów i groźne dla bezpieczeństwa skupiska band.

Policja w ten sposób wyposażona staje się pewną siebie i zdolną do działania, zdolną do obrony granicy. Kontrola ścisła niweczy wszelką myśl o przekupstwie, a normalne dobre wynagrodzenie przywiązuje człowieka do posterunku. Co innego, że nie mielibyśmy nic przeciw temu, by w szeregach jej zaprowadzić regulamin wojskowy na wzór żandarmerji i w ten sposób wyróżnić od policji zwykłej.

Trzeba się zgodzić z tem, że pilnowanie granicy jest rzeczą trudną i stosunkowo kosztowną, że nieda się tu stosować niewczesnych oszczędności. Ale przedewszystkiem zapomnieć musimy o tem, że na terenie tym wolno komukolwiek robić eksperymenty. Czas ich minął, a wraz a nim minęły i baony celne i wszelkie próby stosowanie wojska do służby cywilnej.

A. Dowmunt.

Karygodny brak inicjatywy.

Napady bandyckie na kresach wstrząsnęły społeczeństwem. Rząd zareagował na nie *sui generis* stanem wyjątkowym, mianował generałów na miejsce wojewodów, obiecał stworzyć korpus straży granicznej i — spoczął na laurach. A napady powtarzają się coraz częściej. Różnica tylko polega na tem, że dawniej, aby nie niepokoić opinji publicznej konspirowano je — dziś, aby usprawiedliwić zarządzenia — powiedzmy, dziwne — ale krzykliwe daje się rozgłos już nie tylko istotnemu aktowi „dywersyjnemu“, ale każdemu rabunkowi, który normalnie najwyżej zasługuje na wzmiankę w kronice policyjnej.

Zupełnie zapomina się za to o zarządzeniach niezbędnych do wprowadzenia w życie ustaw językowych — traktowa-

nych z takim pośpiechem w Sejmie, a niezbędnych dla uspokojenia opinji na ne naszych kresach.

Urzędy nasze mają obowiązek załatwiać szereg spraw po białorusku. Czy jest odpowiedni kontygent urzędników mówiących tym językiem? Skąd ich wzięto? Czy rozpisano na te posady konkursy? Czy przygotowano jakieś podręczniki dla tych co muszą zapoznać się z tym językiem?

Obawiamy się, że będziemy mieli do czynienia z niesłychaną komedją, polegającą na tem, że urzędnik polski będzie używał języka rosyjskiego — ot nieco skoszlawionego na modłę mińską, jak to bywało dotąd.

Ministerstwo sprawiedliwości nie pomyślało nawet o słownictwie prawniczem białoruskiem. I znowu obawiamy się, że w sądzie białorusin będzie używał terminów ze statutu litewskiego, a Polak ze „Swoda zakonow".

Ministerstwo oświaty nie sądzi aby było koniecznem przygotowanie podręczników dla rządowych szkół białoruskich. Na co liczy ten resort — trudno powiedzieć — chyba, że szkoły nasze będą korzystały z książek wydawanych przez bolszewików w Mińsku.

To przerażające ubóstwo inicjatywy jak tylko chodzi o coś kolwiek twórczego, o jakąś kolwiek konstrukcyjną pracę może zupełnie zniweczyć nawet to, co jest istotnie dobrego w naszem ustawodawstwie. A nieszczęście chce, że tej inicjatywy jest zawsze brak, gdy chodzi o sprawy wschodnie. A to może skończyć się katastrofą. Za mały jest rząd przemijający by jego odpowiedzialność była dostateczną satysfakcją krzywdzie wyrządzonej w ten sposób sprawie. Ta odpowiedzialość rozciąga się na całą Poskę — cała Polska może za to odpokutować.

Trzeba, ażeby nareszcie nasze czynniki odpowiedzialne to zrozumiały. Ale trzeba i czegoś więcej. Trzeba, by zrozumiała to polska opinja publiczna.

Nasze sfery rządowe mają nietylko wiele optymizmu, ale jeszcze więcej beztroski i poczynają coś robić tylko pod przymusem. Ten przymus dla nich trzeba stworzyć.

a. u.

„Apostazja" Sawinkowa.

Borys Sawinkow sprawił jeszcze jedną wielką sensację całemu światu. Jak doniosły biuletyny sowieckie dał się ująć przez władze czerwone z fałszywym paszportem na imię niejakiego Stiepanowa, stanął przed sądem proletarjackim, uderzył się w piersi i oświadczył, że chociaż przychodzi mu to ciężej niż wysłuchanie wyroku śmierci, ale uznaje Sowiety, jako prawą władzę narodową rosyjską i wzywa wszystkich do jej popierania.

Przekonałem się mówił p. Sawinkow — że lud jest z wami. — Te zeznania wywołały wśród emigracji rosyjskiej zupełne zdumienie. Jednogłośnie nieomal poczęto wołać, że jest to wszystko bluff sowiecki, w którym niema ani słowa prawdy. Część prasy polskiej stanęła na tem podsuniętem jej przez emigrację rosyjską stanowisku.

Oczywiście stanowisko to dowodzi bezgranicznego zaufania dla Sawinkowa i bezprzykładnej nienawiści i pogardy dla Sowietów. Uzasadnić je jednak można by było tylko jakiemś wystąpieniem prawdziwego Sawinkowa, któryby zdezawuował owego Stiepanowa.

Dziś nie potrzeba już zastanawiać się nad kwestją, czy możliwy był taki fałsz, jakiego istnienie przypuszczali emigranci rosyjscy. Po ułaskawieniu Sawinkowa wątpliwości zostały usunięte przynajmniej w stosunku do samego faktu, pod znakiem zapytania zostały tylko zeznania.

Traktujmy jednak na razie jako fakt to co „Rosta" podała jako zeznania Sawinkowa. Bo jeżeli nie złożył ich on, to w każdym razie powtarza je wielu Rosjan. Myśl główna, która przenika te zeznania to — nienawiść i pogarda dla Europy Zachodniej, która interweniowała w sprawach rosyjskich.

Przebijają one w tem wszystkiem, co „Rosta" mówi o zeznaniach Sawinkowa w sprawie jego stosunków z Anglją, Francją, Stanami Zjednoczonemi i Czechosłowacją.

Podjudzali do walki, obiecując pomoc, której nie dostarczali. Dawali pieniądze, które pochodziły z zagrabionych walorów rosyjskich, nie dążyli do porządku w Rosji, ale do jej osłabienia dla swoich celów. Tak—mówi wyraźnie p. Sawinkow o p.p. Noulens'ie, Grenard'zie, Masaryku, Churchillu. A wreszcie, nie wymieniając już nikogo z Amerykanów z nazwiska, oświadcza, że „pycha Amerykanów, przed któremi musiał się poniżać, stanowiła dla niego źródło moralnych katuszy".

Innemi słowami p. Sawinkow oświadcza, że porzuca swoją dotychczasową linję przedewszystkiem jako patrjota rosyjski, widząc w Sowietach tę władzę, która broni dumy i honoru narodowego Rosji.

P. Sawinkow nie po raz pierwszy z drogi rewolucyjnej wchodzi na gościniec pracy patrjotyczno-państwowej. Za każdym razem czyni to w innem przebraniu duchowem, ale treść pozostaje ta sama,

Kiedy w 1906 roku gromił w „*Koniu bladym*" rewolucjonistów za przelewanie krwi, kiedy w 1917 r. organizował armję dla wojny do zwycięskiego końca i wreszcie teraz w 1924 r., kiedy jako posłuszny woli ludu z wroga Sowietów stał się ich sługą — za każdym razem zaprzęgał się coraz mocniej do rydwanu zachłannej państwowości rosyjskiaj, pomimo głęboko zakorzenionych tendencji anarchistycznych.

Obecna ostatnia apostazja, nas oburzać nie powinna, bo trzeba zrozumieć, że Sawinkow chce służyć swojej ojczyźnie, doszedłszy do wniosku, że emigracja tą służbą nie jest.

Istnieje jednak w tej przemianie moment, który specjalnie Polaków odpychać musi, mianowicie nienawistny ton względem Polski, która bądź co bądź źle czy dobrze, ale tak jak umiała była azylum dla p. Sawinkowa przez dwa lata z górą. Opuścił z radością ten przeklęty kraj — jak mówił. Wierzymy, że nie mógł czuć w momencie wyjazdu wdzięczności, bo skok od zaufanej przyjaźni i wspólnej akcji do deportacji był zbyt silny. Ale czy p. Sawinkow nie powinien był tego zrozumieć i ocenić sine ira et studio układu p. Dąbskiego z p. Karachanem?

Ton, w którym o Polsce przemawia dowodzi, że nawraca się p. Sawinkow nie tylko na patrjotyzm, ale nawet na tak zwany „kwasnoj patrjotizm", który kazał nienawidzieć Polaków.

Można być zresztą tego lub innego zdania o wywodach p. Sawinkowa, ale my Polacy przedewszystkiem musimy stwierdzić fakt, że nawracanie się na patrjotyzm p. Sawinkowa zostało dokonane. Jest to symptom bardzo poważny. Musimy przestać traktować Rosję czerwoną, jako państwo o zadaniach wyłącznie rewolucyjno-socjalnych. Mamy już teraz przed sobą nowy organizm państwowy rosyjski, który przeniknięty jest cały dawną wszechrosyjską ideją ze wszystkiemi jej właściwościami od nienawiści do Zachodu poczynając i na dążeniu do zjednoczenia wszystkich pod swoim dachem kończąc.

Taki tylko sens może mieć dla nas apostazja Sawinkowa.

S. G.

Nasze tartarenady.

Oto jeden przykład naszej tartarenady, zresztą nieszkodliwej. Młoda polska artystka zabija w Paryżu, z litości, swego nieuleczalnie chorego narzeczonego. Wszyscy kto znał nieszczęsną parę w Warszawie, a znali ją wszyscy, przejęli się głęboko i silnie bolesnym dramatem. Związek artystów warszawskich naiwnie posłał do Paryża zlekka aktorską depeszę z wyrazem wiary „że opinja francuska potrafi zrozumieć motywy tego smutnego wypadku". Oczywiście, tam, gdzie mamy do czynienia z przestępstwem, chodzić powinno, przedewszystkiem, nie o opinję społeczeństwa, ale o opinję sprawiedliwości, jedynie w takich razach, do chwili wyroku, miarodajną. Tak głęboko nie wpatrywał się w to zwiazek artystów, nie przyzwyczajony jeszcze do milczenia wtedy, kiedy „*la justice est saisie*", „sprawiedliwość bierze sprawę w swoje ręce". Jeszcze naiwniej i już zupełnie po aktorsku, ale ze szczerą chęcią przyjścia koleżance z pomocą w chwili nieszczęścia, związek delegował do Paryża adwokata X. celem „organizacji obrony". Wyglądało

to trochę tak, jak gdyby wysłano Henryka Stanley do głębi Afryki dla odnalezienia Livingstone'a. A tymczasem z gazet dowiedzieliśmy się, że już zaraz po wystrzale „francuska opinja", nie czekajac depeszy związku artystow, zrozumiała nadzwyczajnie motywy czynu i gotowa była idealizować i sam czyn i jego sprawczynię, a w każdym razie uszanować nieszczęście, aż nadto widoczne. I zanim jeszcze adwokat X. przyjechał do Paryża (a nasze gazety pisały: pojedzie, już jedzie, zaraz, jutro, już pojechał) obrona była „zorganizowana". To się dzieje zazwyczaj bardzo łatwo tam, gdzie istnieją sądy, gdzie istnieją obrońcy, a najłatwiej tam, gdzie czyn występny nie jest brudny i gdzie jego sprawca budzi współczucie. Już przed przyjazdem adwokata X. do Paryża, znaliśmy z gazet paryskich nazwisko prokuratora, który wyznaczył sędziego śledczego i nazwisko sędziego śledczego, i nazwiska dwu francuskich obrońców artystki: jednego adwokata, i jednej adwokatki i dowiedzieliśmy się, że uwzględniając stan moralny sprawczyni, sędzia śledczy pozwolił jej pozostać w szpitalu i że ją utrzyma na stopie wolności.

Adwokat X. przyjechał, „zorganizował" obronę, dodając jej swoją osobę. Przypuszczam, że jego przyjazd był pożądany i dla nieszczęsnej kobiety był wielką ulgą. Bo jakkolwiek od chwili swej tragicznej zbrodni; była ona otoczona, i dosyć obficie, tylko współczującemi twarzami: polskich literatów, przedstawicieli polskiego poselstwa — to, oczywiście, przyjazd adwokata, którego artystka znała w Warszawie, spotykała w teatrze, za kulisami, w Ziemiańskiej, mógł tylko dodać jej otuchy. I wielką zasługą adwokata X. było to, że mógł przychylnie patrzącym nań władzom sądowym francuskim, przedstawić odrazu listę tych wszystkich świadków, którzy potrafją zeznaniami swemi rzucić światło na psychikę artystki i zmarłego. Znacznie powolniej działoby się bez tej bezpośredniej interwencji adwokata X.

Ale tartarenada zaczyna się na dobre, kiedy już zupełnie nie naiwnie, ale całkowicie po aktorsku, po przyjeździe do Paryża adwokata X., w polskich gazetach PAT czy AW, czy też i ta i tamta, drukują inspirowane, delikatnie mówiac, depesze, o sukcesach adwokata X., który „zaznacza *życzliwość*, z jaką władze francuskie traktowały" oskarżoną no i życzliwość, z jaką traktowały jej trzeciego obrońcę. „Życzliwość" władz względem oskarżonej! Władza sądowa względem oskarżonego może być ludzka, sprawiedliwa, litościwa, współczująca, wyrozumiała — ale „życzliwa"! Adwokat X., widocznie, poczuł się w roli dyplomatycznej. Tartarenowskie depesze, zwykłą, i już poprzednio dokonaną przez innych, przygotowawczą drogą obrończą, przedstawiają, jak drogę wysłaną kwieciem dla warszawskiego „organizatora" obrony. I rozumie się, adwokat X. postanowił szarfę „ławy obrończej polskiej" (o, ta nieszczęsna szarfa, prawdziwa udręka adwokacka, niewygodna, nieznośna w tak ruchliwem

zajęciu, jak obrończe; co za niedowcipny człowiek ją wymyślił!) jeszcze raz zaprodukować, już nie w gabinecie sędziego śledczego, ale na rozprawie w sądzie przysięgłych. I na łamach „Matin'a" poważnie rozważa, czy były jakie wypadki, żeby obcy adwokat bronił przed francuskim sądem.

Były, mogę zapewnić. Adwokat i znakomity prawnik belgijski Edmond Picard w 1888 r. bronił w Paryżu belgijskiego romansopisarza Camilla Lemonnier. Metr Piccard, któremu paryski dziekan adwokatów Cresson nie dozwolił stawać w adwokackiej todze, stanął „w surducie w charakterze przyjaciela". O innym takim wypadku powiem. Warszawa, starsza od niżej podpisanego, pamięta tego rosyjskiego prokuratora, który w słynnej sprawie o zabójstwo doktora Kurcjusza patetycznie gromił oskarżonego: „nie dla niego cudowne niebo pogodnej Polski; w śniegach Sybiru..." Ten sam prokurator, książe Urusow, później, jako adwokat, z porywającą wymową stawał za krożańskich chłopków, którzy bronili swego katolickiego kościoła przed gwałtem rosyjskiego gubernatora i żandarmów. Była to wspaniała postać, ten książe Urusow. Wielki, z rosyjska po pańsku dystyngowany, obdarzony cudownym barytonem, pełnym dźwięku, jak baryton Battistiniego, bardziej aksamitnym, niż baryton Arystyda Brianda, trochę powierzchowny, emocjonujący i wznoszący się często do wspaniałych wyżyn natchnienia — Urusow, od kolebki prawie po francusku chowany, rozkochany w Flaubercie z nieco komiczną wyłącznością, marzył zawsze o tem, aby wystąpić we francuskim sądzie. Laury jednego z największych rosyjskich adwokatów nie wystarczały mu. Pojechał do Paryża i wystąpił razem z metrem Carraby w jakiejś prasowej sprawie o oszczerstwo. Sensacja była wielka, ale efekt żaden. „Książe adwokat" mówili Francuzi, „nie jest księciem adwokatów". Ta ocena była niesłuszną; Urusow był księciem adwokatów, ale tylko na swoich śmieciach. Metr Carraby, rozwijał spokojnie, detalicznie, z doskonale jasną djajektyką, zmiętoszone, niepewne argumenty Urusowa i po każdym kuplecie swojej obrony elegancko, ale nie bez zjadliwości, dodawał: „jak to po mistrzowsku powiedział wam już mój znakomity kolega „maître Ourousof".

Po krożańskiej sprawie wszyscy obrońcy, (z wyjątkiem ś. p. Jana Maurycego Kamińskiego który wygłosił jedną z najlepszych mów w tym procesie) przyjechali do Petersburga i w klubie adwokackim referowali znamienną sprawę.

Pamiętam referat Urusowa, nacechowany głęboką sympatją dla Polski i Polaków. Po referacie zbliżyłem się do starego mistrza i podziękowałem mu za szlachetne wzruszenie, które w nas wszystkich swoją mową wywołał.

Potem przeszliśmy na ulubiony temat o Flaubercie, a potem zagadnąłem księcia o paryski debiut. Machnął ręką i powiedział mi: „nie mówcie o tem, kolego, to najnieprzyjemiejsze

wspomnienie mego życia. Widzicie, grecy mawiali „me komidzete tas glaukas eis Atenas“ „nie trzeba nosić sów do Aten“. W Atenach sów było dużo i bardzo pięknych! A ja pojechaz moją sową. Cała moja swada, cała moja umiejętność gdzieściś przepadły w tem obcem otoczeniu. Byłem zawstydzony i skrępowany — a przecież po francusku mówię, jak po rosyjsku. Tylko, że nie umiem myśleć po francusku. Wszystko, co mówiłem, miało wygląd rzeczy pożyczonych, cudzych, na pamięć wykutych. Znienawidziłem siebie samego; miałem minę uczonej papugi, chociaż powtarzałem nie cudze, ale swoje własne słowa. Nie można być wymownym w obcym języku — a przecież coś tam jest w tem mojem sercu i w tej mojej głowie. Nie brońcie nigdy, kolego, przed francuskim sądem. Nie będziecie z siebie zadowoleni. Znajdą się bez nas tam ludzie wymowni serdeczni“. Nie broniłbym, nawet gdybym miał talent Urusowa. Jestem szczęśliwy, że mogę bronić po polsku i to mi wystarcza. *lo.*

Nowy szef lotnictwa wojskowego.

Niefortunny Szef Departamentu Lotnictwa w M. S. Wojsk., gen. Leveque, ustąpił. Nic lepszego uczynić nie mógł. Podczas gdy we wszystkich dziedzinach pracy wojskowej z roku na rok, a nawet z miesiąca na miesiąc obserwujemy postęp, lotnictwo, w którem najwięcej było i jest do zrobienia, kuleje w niepokojący sposób.

W przeciągu czterech lat, dzielących nas od dnia zakończenia wojny, nie zrobiono nic zgoła w zakresie przemysłu lotniczego. Nie ustalono nawet typu aparatu wojskowego. Poza tandetnem kopjowaniem nieprzydatnych w naszych warunkach typów włoskich przez osławioną spółkę lubelską „Plage i Laśkiewicz“, opłaconem życiem tylu dzielnych lotników, gen. Leveque nie przedsięwziął nic w dziedzinie racjonalnej produkcji samolotów, zadawalniając się bałamuctwem czteroletniego platonicznego flirtu z „Frankopolem“. Nic dziwnego — absorbował go interes francuskiego przemysłu lotniczego w polskiem łotnictwie i nic poza tem.

Takim bilansem obciążony gen. Leveque, ustąpił — szkoda, że tak późno.

Na jego miejsce powołany został dotychczasowy Szef Dep. Przemysłu Wojennego, gen. Ostoja-Zagórski.

Dlaczego?

Nie zaprzeczając jego uzdolnieniom organizacyjnym, trzeba stwierdzić, iż fachowcem w lotnictwie nie jest. Równorzędnymi kandydatami na to stanowisko jest więc szereg generałów, nie mniej od gen. Zagórskiego uzdolnionych, a posiadających nad nim przewagę zasług bojowych, organizacyjnych, a przedewszystkiem przewagę bezinteresowności osobistej w sprawach tak ściśle, w obecnej szczególnie chwili, z funkcjami tego departamentu związanych.

Oświetlając wyczerpująco historję kontraktu M. S. Wojsk. z „Francusko-Polskiemi zakładami automobilowemi i lotniczemi“ t. zw. „Frankopolem“ na budowę płatowców i silników, wskazaliśmy aktualność tej ważnej sprawy, wobec rozwiązania pierwotnego kontraktu i zasadniczego rozważania nowych umów, na nowych warunkach i z nowemi, stojącemi do konkursu ofertantami. Dep. Lotnictwa ma przed sobą do rozstrzygnięcia poważne zagadnienie: w jaki sposób i na jakich warunkach, wobec

gorzkich doświadczeń z „Frankopolem", zorganizować przemysł lotniczy?

Nie można wymagać mniej od szefa departamentu rozstrzygającego tak doniosły problem, niż tyle przynajmniej, by nie był osobiście zainteresowany w jednym z aktualnych rozwiązań problemu.

Czy gen. Zagórski daje takie gwarancje?

Pomińmy balast subtelizacji sumienia, bezstronności, ideowości itp. Nie kwestjonujemy tych walorów jego charakteru. Interesuje nas objektywny stan rzeczy i z niego możemy tylko wyciągnąć wnioski.

Otóż p. gen. Zagórski, w czasie gdy pozostawał poza armją, jako przyjaciel p. Natansona-Leskiego, brał czynny udział w życiu przemysłu wojennego i był w nim materjalnie zaangażowany. Nazwisko jego widniało w składzie rady nadzorczej i zarządu „Frankopolu" i to aż do mies. lipca r. b., kiedy to na skutek wytoczonych przez nas zarzutów tej spółce poraz pierwszy zostało podane do wiadomości publicznej, że generał Zagórski z chwilą powrotu do czynnej służby wojskowej, przestał być akcjonarjuszem i zarządcą spółki. Rzecz szczególniej godna uwagi, że od grudnia 1922 r. do lipca 1924 daremnie czekaliśmy na tę enuncjację, mimo iż skład rady i zarządu „Frankopolu" byt wielokrotnie publikowany z nazwiskiem generała, przedewszystkiem oficjalnie w *Monitorze.*

Dzisiai gen. Zagórski zmuszony jest w charakterze obrońcy interesów państwa decydować: można czy nie należy powierzać „Frankopolowi" losów przemysłu lotniczego.

Odrzucając wszelkie okoliczności i elementy tej sytuacji trzeba stwierdzić, iż jest ona z gruntu niemoralna, i przeto niedopuszczalna.

Nie może tu mieć znaczenia rozważanie zalet generała Zagórskiego. Żaden prawnik, choćby najbardziej kryształowego charakteru, nia może się w jednej i tej samej sprawie przesiadać się dowolnie z ławy obrończej na fotel prokuratorski. Więcej nawet, jednemu i drugiemu nie wolno być świadkiem w sprawie, w której bronią lub oskarżają.

W tym przepisie prawnym zawarte jest to minimum moralności, które musi być ściśle stosowane we wszystkich dziedzinach życia, szczególnie publicznego i to, jak w tym wypadku, państwowego.

Nie można być dzisiaj członkiem spółki przemysłowej, a jutro przesiąść się na fotel wysokiego funkcjonarjusza państwowego i z tytułu swego nowego urzędu zawierać z nią umowy rządowe.

Ponieważ ta zasada nie znalazła, jak wskazuje nominacja gen. Zagórskiego i jego na nią zgoda, uznana u decydujących o niej czynników, przeto byliśmy zmuszeni ją na tym miejscu przypmnieć i uznania dla niej, stanowczo się domagać. *W. Stpiczyński*

Wydawnictwa nadesłane.

WSPOMNIENIA LEGJONOWE — Materjały z dziejów walk o niepodległość. Część I. Nakładem Instytutu Badań najnowszej Historji Polskiej. Skład główny: „Ignis" (Wende i S-ka) Warszawa 1924.

Redaktor wspomnień, J. Jędrzejewicz, w przedmowie do tomu I wyjaśnia: „Wydawnictwo, ma za zadanie zebrać surowy materjał historyczny w formie wspomnień i pamiętników, pisanych przez bezpośrednich uczestników walk legjonowych".

Doszukiwanie się więc we „Wspomnieniach" jakiejś tendencji politycznej byłoby błędem zasadniczym. Podają one szereg fragmentów z życia I Brygady, często piórem barwnem i utalentowanem, z całą ich dokładnością historyczną. Wyciąganie z nich wniosków należy po części do polityka i przeważnie do historyka — tendencja ich tkwi w wierności oddania chwili. Jest to tendencja objektywu fotograficznego, który dla wielu ma tę wadę, że nie potrafi blagować.

Wydawnictwo nie jest natomiast wolne od, jak nam się wydaje, pewnego błędu redakcyjnego. Jako część I materjałów z dziejów walk o niepodległość, po której mają nastąpić dalsze, aby stworzyć całokształt

polskiego procesu dziejowego od 14 do 18 a może i 20 roku, „Wspomnienia“ zbyt luźno traktują chronologję faktów, omawiając, jak praca Góreckiego Romana, epilog epopei legjonowej, a pomijając jej okres początkowy.

Nie mniej jest to książka pełna emocji literackich. Fragmenty pióra Marszałka Piłsudskiego, Bolesława Wieniawy-Długoszewskiego, Hołówki, Świtalskiego, Krzewskiego, Góreckiego, Krzemińskiego, Sokolnickiego, Litwinowicza, Stachiewicza, Popowicza, Zamorskiego Kordjana i Jędrzejewicza Janusza obok wielu rewelacji historycznych mienią się barwnością Pióra oddającego z wielkim częstokroć talentem niefrasobliwość humoru w rzeczach wielkich, tak właściwą I Brygadzie.

MIĘDZY LĄDAMI I MORZAMI — *Józef Konrad Korzeniowski.* Trzy nowele: „Uśmiech szczęścia“, „Ukryty sojusznik“ i „Freja z siedmiu wysp“ w tłumaczeniu *J Lemańskiego, J. B. Rychlińskiego,* i *A. Zagórskiej.* Okładką barwną *K. Machiewicza.* Pism Conrada tom XIII. Wydawnictwo Tow. Wyd. „Ignis“ (E. Wende i S-ka), Warszawa, 1924.

ŻYWOTY UROJONE — *Marceli Schwob,* nowele. Tłumaczył *Leon Schildenfeld Schiller.* Okładka *E. Bartłomiejczyka.* Wydawnictwo Tow. Wyd. „Ignis“, Warszawa, 1922.

RÓŻANIEC ŻYCIA I ŚMIERCI. — *Marjan Dąbrowski,* opowiadania z cyklu „Żołnierz I Brygady“ zebrane na dziesięciolecie czynu legjonowego“. Wydawnictwo księgarni nakładowej Zygmunta Pomarańskiego i S-ki w Zamościu, oddział w Warszawie, 1924.

Warunki prenumeraty: Prenumerata miesięcznie **1 złoty,** kwartalnie **3 złote.** Zagranicą kwartalnie **5 złotych.**
Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności Nr. **3288.**

Redaktor i Wydawca: **Wojciech Stpiczyński.**

Zakł. Graf. „DRUKARNIA BANKOWA“, Moniuszki 11.